All communications must be addressed:

J. F. SMULSKI & Co.
565 Noble St.
CHICAGO, ILL.

J. F. SMULSKI i Sp.
wydawcy.

PAMIĘTAJ ABYŚ DZIEŃ ŚWIĘTY ŚWIĘCIŁ. III. P. B.

Wychodzi co czwartek.

Kosztuje rocznie $1.00 Abonenci Gazety Katolickiej płacą tylko 50 c; do Europy: z Gazetą $3.00, bez Gazety $1.50. Abonament musi być naprzód opłacony. Pokwitowań nie ogłasza się. Gaz. Katolicka sama kosztuje $2,00.

Rok XV. CHICAGO, ILLINOIS, 26go SIERPNIA 1897 ROKU. Nr. 34.

Entered at the Post Office of Chicago, Ill. as second class matter.

Aprobowany przez Najprzewiel. Arcyb. P. A. Feehan z Chicago.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

KALENDARZ. — Czwartek 26 Sierpnia, Samuela Piątek 27 Sierpnia, Gebharda. Sobota 28 Sierpnia, Augustyn. Niedziela 29 Sierpnia, Ścięcie św. Jana. Poniedziałek 30 Sierpnia, Róży p. Wtorek 31 Sierpnia, Rajmunda. Sroda 1 Wrze nia, Aniol. Str.

Na Niedzielę XII. po Zielonych Świątkach.

Ewangielia św. Łukasza w rozdziale X

Onego czasu: Rzekł Jezus uczniom swoim: Błogosławione oczy, które widzą, co wy widzicie. Bo powiadam wam, iż wielu proroków i królów żądali widzieć, co wy widzicie, a nie widzieli, i słyszeć, co słyszycie, a nie słyszeli. A oto niektóry biegły w zakonie powstał, kusząc Go, a mówiąc: Nauczycielu! co czyniąc, dostąpię żywota wiecznego? A On rzekł do niego: W zakonie co napisano? Jako czytasz? On odpowiedziawszy rzekł: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkich sił twoich, i ze wszystkiej myśli twojej: a bliźniego twego, jako siebie samego. I rzekł mu: Dobrześ odpowiedział: to czyń, a będziesz żył. A on chcąc się sam usprawiedliwić, rzekł do Jezusa: A któż jest mój bliźni? A odpowiadając Jezus, rzekł: Człowiek niektóry zstępował z Jeruzalem do Jerycho, i wpadł między zbójce, którzy go też złupili i rany zadawszy odeszli, na pół umarłego zostawiwszy. I przydało się, że niektóry kapłan zstępował tąż drogą, a ujrzawszy go, minął. Także i Lewita, będąc podle miejsca, widząc go, minął. A Samarytanin niektóry, który idąc, przeszedł wedle niego, i ujrzawszy go, miłosierdziem wzruszony jest. A przybliżywszy się, zawiązał rany jego, nalawszy oliwy i wina: a włożywszy go na bydlę swoje, prowadził go do gospody i miał pieczę o nim. A nazajutrz wyjąwszy dwa grosze, dał gospodarzowi i rzekł: Miej staranie o nim, a cokolwiek nadto wydasz, ja, gdy się wrócę, oddam tobie. Któryż z tych trzech zda się tobie bliźnim być onemu, co był wpadł między zbójce? A on rzekł: Który uczynił miłosierdzie nad nim. I rzekł mu Jezus: Idźże, i ty czyń podobnie.

Tyle jest słów Ewangelii św. na Niedzielę dzisiejszą.

Daleko od Ojczyzny.

POWIEŚĆ.

I.

Bałwany srożącego się morza rozbiły okręt: jedna połowa jeszcze sterczała na powierzchni wody, druga już tonęła, — za chwilkę cały statek pogrąży się w otchłani.

Z brzaskiem jutrzenki, z wybrzeża wysp widniejących z dala, wysunęła się łódź jedna, potem druga, wreszcie z pośród mgły porannej wyłonił się cały szereg małych statków. Z początku walczyły one ze wzburzonem morzem, w miarę jednak jak się uciszało, płynęły spokojniej, wieszając się na fal krawędzi.

Łodzie otoczyły tonący okręt, a marynarze cisnęli się z dziką energią po rzuconym pomoście, chcąc się dostać do rozbitka.

— Stój — zawołał donośnym głosem

niepozorny człowiek, dowodzący przybyszami.

Na głos dowódzcy marynarze gwałtowność swą powstrzymali, jak gdyby rozkaz zamienił ich nagle w posągi.

— Uery wedrze się do niezatopionej części okrętu. Na najwyższem piętrze może się jeszcze znajdować ktoś żywy; — zakomenderował kapitan.

Uery błysnął spojrzeniem, przebiegł pomost i ze zwinnością kota wdzierać się zaczął na maszt pochylony.

Cisza na łodziach zaległa, każdy widział niebezpieczeństwo, na jakie się Uery narażał.

Słońce rozgrzewało coraz więcej przepełnione wilgocią powietrze, promienie świeciły wprost w oczy, upał stawał się nieznośnym nawet dla przywykłych do żaru słonecznego; nikt jednak nie śmiał położyć się w łodzi, bo mały kapitan z założonemi rękami śledził kroki Uerego.

Wkrótce Uery znikł wśród ścian okrętu. Kapitan przykładał dalekowidz do oczu, kierując go na otwór, w którym ukrył się dzielny majtek, lecz szkła nie mogły przeniknąć ciemnego wnętrza.

Mijały chwile; na twarzy kapitana malowała się niecierpliwość.

— Jedna łódź zostanie w miejscu, dwie od strony wschodniej statku, reszta popłynie za mną; — rozkazał.

W mgnieniu oka lekkie wyspiarskie statki otoczyły rozbitą ścianę okrętu, na którą wszyscy spoglądali ciekawie.

— Ho! — krzyknął kilkakrotnie kapitan, przybliżywszy się pod samą ścianę.

Szum morza wtórował wołaniu, lecz nikt nie odpowiedział.

I znowu chwila milczenia.

Wreszcie z najwyższego szczytu, lina spuszczać się zaczęła powoli.

— Podpłynąć i przywiązać do liny sieć ratunkową z butelką araku! — zawołał kapitan.

Wioślarze spełnili rozkaz: spoglądali jednak z oskomą na arak, który chętnie byliby wlali w swe gardła.

— Uery! — krzyknął znowu kapitan.

Żadnej odpowiedzi; lina skracała się powoli, a jednocześnie rozległ się złowrogi skrzyp desek rozbitego okrętu.

Uerego widać nie było.

Wreszcie ujrzano linę, spuszczającą się z przywiązanym do niej ciężarem.

Morze kołysało się powoli, ludzie na łodziach patrzyli na linę w niemem oczekiwaniu; Uerego spostrzeżono na szczycie masztu. Najwyższy z wioślarzy odciął ciężar od liny, drugi uchwycił go i ugiął się pod jego brzemieniem.

Jednocześnie łoskot złowrogi doszedł uszu kapitana.

— Do wioseł! — zawołał; — Black tylko zostanie na pomoc Ueremu.

Plusnęły wiosła a zaledwie łódź się usunęła w przeciwną stronę, maszt runął.... Black zdążył jednak odciąć linę, po której spuszczał się Uery, i wraz z nim rzucić się w morze, zostawiając na pastwę żywiołu łódź swoję.

Tymczasem łódź wielka płynęła spokojnie po pełnem morzu z wrzuconym do niej ciężarem, a ciężarem tym była kobieta i dziecię.

Kobieta nie dawała już prawie znaku życia; przyciskała jednak do piersi nawpół zesztywniałą dłonią małą dziewczynkę....

Dziecię i matka były bardzo wycieńczone i omdlałe. Dziewczynka, mogąca mieć lat sześć, trzymała się matki.

— Wlać jej w usta wina! — zawołał kapitan, wskazując na kobietę i odejmując z jej objęć dziecię.

— Niema ani kropli!, — ozwał się majtek najbliżej stojący.

— Łżesz! — wrzasnął kapitan.

— Nie, kapitanie; wino z zapasami zostało w łodzi, która przed nami płynie.

Kapitan zgrzytnął zębami.

— Mam tutaj kropelkę; — ozwał się drugi wioślarz, siedzący spokojnie na ławie.

— Dawaj!

— Młody wioślarz z za pasa bezpieczeństwa wyciągnął płaską butelkę, a ciemno–żółtawy jej płyn dowodził doskonałości gatunku.

— Po kropelce dostaję czasem od kupców przejezdnych; — tłumaczył się chłopak, patrząc z podełba na kapitana i podając mu butelkę.

Kapitan mimowoli się uśmiechnął, po kolorze bowiem poznał, że wino pochodziło z jego własnej piwnicy. Na ten raz przebaczył jednak zabiegliwemu wioślarzowi, gdyż kropla owego nektaru mogła ocalić życie rozbitkom. Złożywszy więc, na macie, we wnętrzu łodzi dziecię, otworzył zaciśnięte zęby leżącej bez zmysłów kobiecie, która tem tylko dawała znaki życia, że przyciskała rękę do piersi, jak gdyby jeszcze tuliła niemowlę.

Przez nawpół uchylone usta i siłą otworzone zęby, udało się wlać kilka kropel wina. Kobieta chwytała krople ożywczego płynu; poruszała wciąż ustami, dając tem znak, że pragnie jeszcze płynu.

Z nawpół odemkniętych usteczek dziewczynki sączyła się piana. Czerwone plamy, na zaklęsłych policzkach dziecka, świadczyły o gorączce głodowej. Kapitan zwilżył w winie chustkę i wycierał spieczone wargi dzieweczki, usuwając z nich reszty piany.

— Ta mała już pewnie nie żyje, a dałbym szyję, że nie czuje nawet zapachu tak wybornego wina; — ozwał się majtek, spoglądając na towarzysza, który oddał swoje wino. Ten kiwnął głową, a coś mruknąwszą, przypatrywał się dalej karmieniu dziecka z butelki.

Dziecię chwytało kroplę, a w miarę jak wchodziły one do żołądka, ustępowały krwiste plamy z policzków, oczęta się przymykały, główka opadała bezwładnie na ramię kapitana. Wino uśmierzyło na chwilę głodową gorączkę; dziecię zaczynało swobodniej oddychać, lecz matka jękami przerażała twarde serca żeglarzy....

Spoglądali ze współczuciem na kobietę, która rzucała się, wyciągała ręce przed siebie, przyciskała je do piersi, wykrzykując wyrazy, których nikt nie rozumiał. Otwarte oczy kobiety patrzyły błędnie dokoła, usta wysilone wykrzyknikami zamilkły, piersi tylko ciężkiem westchnieniem wznosiły się i opadały. Wszyscy prawie zapomnieli, gdzie się znajdują, patrząc na umierającą.

— Dobywajcie sił, ażeby jak najprędzej przybić do brzegu! — zawołał kapitan, kładąc uśpioną dziewczynkę na macie, z troskliwością najczulszej matki. Czterech wioślarzy silnemi ramiony odrzucało bałwany tamujące bieg łodzi, a plusk wioseł i szum morza mieszał się ze śmiertelnem chrapaniem kobiety. Kapitan usiłował wlać jej jeszcze w usta dozę wina; połknęła je, chwilkę się uspokoiła, potem ręce znów przyciskała do piersi, a wzrok swój napoły zagasły wytężała wszelkiemi siłami, jak gdyby kogoś szukała. Usta jej poruszały się, chcąc wymówić wyrazy; znać wino działało kojąco; lecz kobieta spokoju nie miała, bo myśl jej i uczucie zwrócone były ku dziecięciu, którego nie czuła u swojej piersi.

Zrozumiał to kapitan i zawołał po angielsku:

— Jest, jest dziewczynka! Śpi....... żyć będzie....

Kobieta patrzyła na niego osłupiałemi oczami, zdawało się, że słyszy, lecz nic nie rozumie.

Kapitan chcąc ją uspokoić, wziął na ręce śpiącą dziecinę i pokazał matce: po wyżółkłej twarzy kobiety przemknęło się podobne do uśmiechu skrzywienie, w oczach jej błysnęło życie, wyciągnęła dłonie, lecz zaraz je bezwładnie znowu opuściła. I zno-

wu ozwało się w piersi chrapanie, przerywane strasznym jękiem.

Dziecię obudzone skrzywiło się do płaczu, nie miało jednąk do niego siły; otworzyło spieczone usta i wybiegł z nich jakiś wyraz, lecz wyrazu tego, jak i wymawianych przez kobietę, nikt nie rozumiał; nawet nie rozumiał kapitan, chociaż władał dobrze kilkoma europejskiemi językami. Pytał też z kolei każdym znanym sobie językiem; kobieta wciąż odpowiadała, ale kapitan nic nie rozumiał.

Wreszcie zaniechał pytań, a chcąc uchronić od znużenia dziewczynkę, powtarzającą również jakieś wyrazy, wlał jej znów w usta wina. Dziecię zapadło w sen powtórnie. Kobieta tymczasem zerwała się nagle, siadła na posłaniu, wskazała na niewielką torebkę skórzaną, wiszącą u jej boku, wyciągnęła ręce w stronę śpiącej dziewczynki, chwyciła ręce kapitana i jęknąwszy raz jeszcze, na posłanie opadła.... Oczy jej w słup stanęły, głowa całą siłą zagrzęzła wśród mat podesłanych i z piersi ostatnie uleciało tchnienie.

Wtem plusk dał się słyszeć, tuż obok płynących; inne łodzie mknęły w znacznej odległości, nie był to więc plusk wioseł. Kapitan spojrzał na ciemniejący punkt wśród bałwanów, zmarszczył brwi, bo padające promienie słońca nie pozwalały dokładnie dojrzeć, jakie łodziom groziło niebezpieczeństwo.

— Potwory zwęszyły świeżą dla siebie strawę; — odezwał się jeden z wioślarzy, spoglądając na zwłoki kobiety. Kapitan nie odpowiedział, tylko odciął torebkę skórzaną, będącą przy boku zmarłej.

— Wrzucić ciało? — zapytał wioślarz.

— Wstrzymajcie się; — odparł kapitan i wytężył wzrok w stronę, zkąd plusk dochodził.

Wśród lekko zbałwanionego morza coraz wyraźniej rysowały się ludzkie postacie; nie były dalej jak dziesięć metrów.

— To Uery i Black! — zawołał z radością kapitan. — Zwolnić biegu — dodał — zabierzemy tych dzielnych chłopców.

— Morze pluć zaczyna, kto wie, czy sami zdążymy; — zrobił uwagę wioślarz.

— Zwolnić biegu i spuścić liny, gdy będą już blisko; — odpowiedział kapitan stanowczym głosem.

Wioślarze usłuchali, lecz utkwili wzrok w martwe ciało kobiety.

Kapitan zrozumiał to wejrzenie, zawahał się chwilkę; wtem bałwany grozić zaczęły a silny prąd wiatru zadął od wyspy złowrogo.

Łódź, podrzucana co chwila, była w niebezpieczeństwie.

Wioślarze patrzyli na kobietę i na towarzyszy, którzy znowu ukazali się na powierzchni, walcząc z bałwanami.

— Trzeba pozbyć się umarłych, aby ratować żywych; rzekł kapitan i wskazał ciało kobiety.

W jednej chwili, ze zwykłą obojętnością ludzi przywykłych do stawania wobec śmierci, wioślarz zdjąwszy wierzchnią odzież ze zmarłej, owinął w nią zwłoki i rzucił w morze, wołając:

— Niechaj cię woda utuli, gdy ci ziemi zabrakło!

W chwili, gdy wrzucano matkę, dziecię głęboko westchnęło, wyrwał się nawet jęk z jego piersi; twarzyczka wyrażała cierpienie a rączki niecierpliwie chwytały powietrze.

Skończywszy ze zmarłą, rzucono liny w morze; bałwan je zasłonił, mimo to Black i Uery dojrzeli ratunek, a wioślarze wciągnęli towarzyszy do łodzi. Kapitan upewniwszy się o ich życiu, zajął się maleńką sierotą; uspokajał jej krzyki i wlewał w usta po kropli ożywczego wina. Uery uczuwszy dno łodzi, parsknął tylko jak koń, a otrzą-

snąwszy się z wody, wyjął z zanadrza butelkę, przytknął ją do ust i pił chciwie; potem oddał Blackowi, mówiąc:

— Brr! mało na dwóch, lecz dobrzy koledzy muszą się podzielić!

Ciąg dalszy nastąpi.

SWIĘTY EUSTACHIUSZ.

Dramat historyczny w pięciu odsłonach.

Przełożył na polskie Ks. J. Gieburowski, C. R.

Ciąg dalszy.

AKT II.

ODSŁONA CZWARTA.

Scena w sali cesarskiego pałacu.

Scena Pierwsza.

Zgromadzenie senatu. — Cesarz Trajan na tronie. — Plutarch i Pliniusz po obu stronach cesarza.

Trajan. Bardzo ważne sprawy zmusiły mnie zwołać senat na narady. Zatrzymałem też z tej przyczyny dwóch tych mężów, (*wskazując na Plutarcha i Pliniusza*) którzy należą do najmędrszych mężów w mojem państwie, mianowicie uczonego i oddanego mi wielkorządzcę Pliniusza, (*wskazując na Pliniusza*) i filozofa Plutarcha, (*wskazując na Plutarcha*) który jest największym pisarzem z naszych czasów. (*Plutarch i Pliniusz powstają*). Wy wszyscy, prześwietni senatorowie, wiecie, że w czasie mojego 19 letniego panowania wszystkie moje siły wytężałem, aby być użytecznym państwu — aby je strzedz i granice jego rozszerzać. Ale przy najlepszej mej chęci nie byłem w stanie państwa tak umocnić i zjednoczyć, aby wszystkie narody, które są pod berłem rzymskiem, zażywały szczęścia i pokoju. Z północy ciągle nam grozi niebezpieczeństwo z strony niepokonanych Sarmatów — a Niemcy, czy prędzej czy później odważą się zaczepić nasze państwo. — W Palestynie i Egipcie żydzi wzniecają ciągłe niepokoje i chcą zrzucić z siebie jarzmo poddaństwa. — Partowie na wschodzie chwytają powtórnie za broń. — Tak się mają nasze sprawy; a moje siły już są osłabione i czuję, że zbliża się koniec mojego życia i mojego panowania. Jednak chcę koniecznie — jeszcze przed śmiercią moją, wyruszyć na wschód, — chcę stanąć do wojny przeciwko Partom. Czyli powrócę z wojny lub nie, o tem wiedzą tylko nieśmiertelni bogowie.... W rękach senatu rzymskiego spoczywa wielka władza, i dla tego wzywam was prześwietni senatorowie, ponieważ nie mam potomka, abyście obrali następcę mojego tronu, któryby silną dłonią ujął ster rządu państwa? Czy zgadzacie się na to?

Wszyscy Senatorowie. Zgadzamy się.

Plutarch. Jest mi wolno najjaśniejszy i najlepszy cesarzu, przemówić?

Trajan. Słowo światłego męża jest mi zawsze cennem; mów Plutarchu!

Plutarch. Główną przyczyną, dla której żydzi ciągle się buntują, jest ta: Żydów uważa się, naturalnie nie słusznie, jako rodzaj chrześcian, i dla tego równie ostro są traktowani. Chrześcianie, to naród spokojny; cierpią i umierają nie burząc się wcale. Ale nie tacy żydzi.

Pliniusz. Żydzi, to naród twardego karku; nie cierpią przedewszystkiem, aby im się wtrącano do spraw religijnych; jako wielkorządzca Bitynii miałem sposobność przekonać się o tem.

Plutarch. Moją więc radą jest, jeżeli mi jej wolno udzielić, aby nie zaczepiać wcale zwyczajów i właściwości, jak języka, tak przedewszystkiem religii różnych wszystkich narodów naszego kolosalnego państwa.... Nie należy również kuć praw wyjątkowych.... Jeżeli w państwie rzymskiem wolno czcić Fenicyanom i Egipcyanom swoich bożków

na równi z naszymi bożkami, to dla czego i jakiem prawem nie miałoby być wolno chrześcianom i żydom czcić swojego Boga? Czyż godnem jest, szlachetnych Rzymian, i rozumnem, prześladować czyjeś przekonania?.... Niechżeż prześwietni senatorowie sami powiedzą czy nie są pełnemi prawdy moje wywody?

NIEKTÓRZY SENATOROWIE. Tak, mówiłeś prawdę.

TRAJAN. Dopóki będę cesarzem, świadczę się, że nikt nie będzie karany dla religii swej, jeżeli tylko nie wykroczy przeciwko prawom.

PLUTARCH. Ja nie jestem chrześcianinem, ale moje poczucie sprawiedliwości nakazywało mi głośno wypowiedzieć to, com myślał.

TRAJAN. Potrzebuję dowódzcy. Ja kazałem szukać Placyda, tego, który pobił Partów; ale dotychczas nie odnaleziono go.... Prześwietni senatorowie, czy nie moglibyście mi wskazać zdolnego dowódzcy, w którym mógłbym położyć całe moje zaufanie?

WSZYSCY SENATOROWIE. Nie wiemy o żadnym takim mężu.

SŁUŻĄCY PAŁACOWY (*wchodząc*). Najpotężniejszy cesarzu, Placyd, którego kazałeś szukać, jest odnaleziony; stoi w przedsionku; czy może stanąć przed obliczem twoim?

TRAJAN (*wesoło*). Naprawdę?.... Czyż możebne!.... Niechaj wnijdzie! (*służący odchodzi*).

Scena Druga.

Ci sami. EUSTACHIUSZ.

TRAJAN (*zstępując z tronu idzie naprzeciwko Eustachiuszowi i obejmuje go rękoma*). Witaj mi, najulubieńszy Placydzie!

EUSTACHIUSZ. Bądź pozdrowiony, mój najjaśniejszy cesarzu!

SENATOROWIE (*powstają ze siedzeń*). Witamy cię, witamy cię, waleczny dowódzco!

TRAJAN. Gdzież przebywałeś, kochany Placydzie, że cię tak długo nie mogliśmy znaleźć?

EUSTACHIUSZ. Kiedym utracił cały majątek, wywędrowałem do Egiptu; w czasie tej podróży utraciłem moją żonę i obydwu moich synów, żyjąc później jako ubogi ale szczęśliwy wieśniak w tym kraju. Na twoje zawołanie opuściłem, najjaśniejszy cesarzu, ulubione moje zacisze;... i oto stoję tutaj do usług twoich.

TRAJAN. Wybuchła znowu wojna z Partami, jak się o tem niebawem dowiesz; po paru dniach wyruszymy na wschód, a ciebie Placydzie mianuję dowódzcą całego wojska.

EUSTACHIUSZ. Do usług waszej cesarskiej mości.

TRAJAN. Na znak, że jesteś dowódzcą całego wojska, weźmij tę buławę (*daje mu buławę*).

WSZYSCY SENATOROWIE (*powstając*). Niechaj bogowie błogosławią naszemu orężowi!

EUSTACHIUSZ. Oby nam Bóg Wszechmocny dał zwycięztwo!

ODSŁONA PIĄTA.

Scena Pierwsza.

W ogrodzie, a w małem oddaleniu namiot, — Agapiusz, Teopist, Flor i Lukan siedzą przy stole i piją; Teopista, jako niewolnica usługuje im; w tyle żołnierze trzymają straż.

FLOR. Oj, gorąco dzisiaj było, — gorące też było spotkanie;.... Wiele krwi popłynęło, niechaj też wiele płynie wina.

LUKAN. Nagarbowaliśmy dobrze skóry Partom i świetne odnieśliśmy zwycięztwo; to też warto pohulać.

AGAPIUSZ (*podnosząc szklankę do toastu*). Wypijmy na cześć naszego zwycięztwa i naszego zwycięzcy!.... Niech żyje Placyd!...

WSZYSCY. Niech żyje!!!

LUKAN (*do Agapiusza*). Ja wierzę, że ty z całego serca pijesz na wiwat dowódzcy Placydowi, kiedy ciebie szczególnym odzna-

czył honorem, odstępując ci połowę wieńca laurowego, który on sam otrzymał od cesarza.

Agapiusz. Ten wawrzyn nie dla mnie był przeznaczony, tylko dla całego wojska; dowódzca Placyd wyraźnie to zaznaczył; ja go otrzymałem w imieniu wojska.

Flor. Ten oficer zasłużył rzeczywiście, aby go okryć wawrzynami.... Czy widzieliście, jak nieprzyjaciel napadł na dowódzcę Placyda z wszystkich stron?.... Dowódzca byłby zginął niechybnie, gdyby ci dwaj oficerowie (*wskazując na Agapiusza i Teopista*) nie przyszli mu w pomoc i nie odbili go.

Lukan. Ale kiedy ja i moi przyjaciele również odpieraliśmy napad wroga; więc i nam należała by się część wawrzynu.

Flor. Ej, Lukanie, jak widzę tego wawrzynu strawić nie możesz.

Teopist. My spełniliśmy tylko nasz obowiązek; zresztą nasz waleczny dowódzca byłby wyszedł zwycięzko sam bez naszej pomocy.

Lukan. Wszystko zależy na szczęściu;.... wy dwaj wydajecie mi się być rodzonemi dziećmi fortuny.

Agapiusz. Prawdziwie; szczęście mi dotychczas sprzyjało; bo jeszcze nie ma roku jakem chodził za pługiem.

Lukan (*szyderczo*). Hm! więc syn chłopa!

Agapiusz. Mój ojciec nie był chłopem. Ja nie mogę go sobie dobrze przypomnieć; tylko tyle wiem, że miał piękny szyszak z przyłbicą i świecącą się zbroję. A moja przeszłość jest tak ciekawą, że z pewnością z wielkiem zajęciem słuchalibyście, gdybym ją wam opowiedział.

Flor. Opowiedz ją nam.

Teopist. Tak, opowiedz — bardzo chętnie posłuchamy.

Agapiusz. Moja matka była bardzo urodziwą, i często słyszałem domowników rozmawiających, że w całej okolicy nie masz piękniejszej pani. Miałem jeszcze jednego małego brata, pięknego chłopczynę z długiemi włosami. Lecz wielkie nieszczęścia spotkały naszych rodziców. Padła zaraza na cały inwentarz — padły wszystkie woły, krowy, owce i wszystkie konie, nawet kasztan, piękny wierzchowiec, na którym ojciec mój zwykle jeździł na polowanie, a mój szczególniejszy faworyt, zdechł po krótkiej chorobie. Wkrótce zaczęli i ludzie chorować i bardzo ich wiele umarło. Powstała wielka nędza. Nareszcie ojciec i matka, opuścili dom i poszli z nami daleko, aż nad morze, gdzie wsiedliśmy na okręt. Nas chłopców dziwiła niezmiernie ta niezmierzona przestrzeń wody; pamiętam także, że kołysanie się okrętu przyprawiło nas o chorobę. Gdyśmy znaczny czas nie widzieli nic więcej, jak niebo i wodę, z radością ujrzeliśmy ląd stały. Nagle powstała na okręcie wielka sprzeczka między ojcem a majtkami; nie pamiętam już wcale z jakiego powodu. W sprzeczce, mój ojciec, pierwszego majtka, który się zbliżył do niego z zaciśniętemi pięściami, tak silnie uderzył w głowę — bo był to rycerz niepospolity — iż majtek stoczył się z pokładu okrętu w morze. Powstała ztąd na okręcie wielka wrzawa; dużo zeszło się majtków, którzy się razem rzucili na ojca, skrępowali go i ojca i nas dzieci gwałtem wysadzili na ląd; zaś pan okrętu, murzyn straszny, zatrzymał matkę na okręcie. Dobrze jeszcze pamiętam, jakeśmy z płaczem prosili okrutnego murzyna, aby nam nie wydzierał ukochanej matki.

Teopista (*z uwagą słuchając opowiadania, podnosi się z murawy, zatrwożona mówi do siebie*): Boże, to moja historya? — Czyżby ten był moim synem?

Agapiusz. Nie widziałem, aby ojciec mój płakał kiedykolwiek w życiu — ale wtedy jednakowoż gorzko się rozpłakał. Znaleźliśmy się pośród bezludnej i niezmierzo-

nej okiem pustyni. Mdleliśmy, pamiętam z głodu i pragnienia.... Dostaliśmy się nareszcie nad rzekę, przez którą ojciec mój przeniósł najprzód mojego brata. Lecz zaledwie usadził go na brzegu rzeki — w chwili kiedy wracał do mnie, lew jakiś ogromny pojawił się ni ztąd ni z owąd, całym galopem pędził ku mnie, i z rykiem skoczywszy na mnie, porwał mnie w swoją paszczę i uciekł.

TEOPIST (*odskoczywszy od stołu*). Bracie! najukochańszy mój bracie! (*rzuca się w objęcia Agapiuszowi*). Mój najukochańszy Agapiuszu! — Ja jestem twoim bratem... Ja byłem owym chłopięciem, którego ojciec przenosił przez rzekę; widziałem, jak ów lew ciebie porwał i uniósł w dal puszczy.—Mnie spotkał taki sam los, bo wilk mnie porwał i uniósł z sobą.

AGAPIUSZ. Czyż możebne!...Tak; mój brat, o ile sobie przypominam, nazywał się Teopist. Czy nie mógłbyś podać nazwiska naszego ojca?

TEOPIST. Ojciec nazywał się Eustachiusz.

TEOPISTA (*wlepiając oczy w obydwóch, mówi do siebie*): Boże! to moi synowie! (*upada na ławkę na wpół zemdlona*).

AGAPIUSZ. Teraz jest pewnem, żeś moim bratem (*rzucając się w objęcia*). Teopiście, mój bracie najdroższy, jakże cudowne zrządzenie Boga, żeśmy obydwaj uratowani.

FLOR (*z zapałem*). Wybornie, wybornie; coś podobnego rzadko się zdarza.

LUKAN. I mnie cieszy niezmiernie to wasze poznanie się; mimowoli wołać muszę z wieszczem wenuzyańskim:

> "Teraz to podpić, teraz skoczne nogi
> Ruszyć do tańca, a łaskawe bogi
> Błagać u hojnych stołów siedząc między
> Mędlem półmisków, kochani koledzy."

(*Kiedy Lukan śpiewa, schodzą się inni żołnierze i przyśpiewują*).

FLOR (*wskazując na Teopista i Agapiusza*). Dziwne zdarzenie! Dzisiaj rano naczelny dowódzca dał im obydwom wieniec laurowy, i dzisiaj wieczorem ci sami poznają się jako bracia... (*z zapałem*). Niech żyją waleczni rycerze!

WSZYSCY ŻOŁNIERZE. Niech żyją!!!

LUKAN. Cześć uszczęśliwionym braciom!... Dzisiaj musi wino płynąć strumieniem... Niewolnica!... Wina!... co tak siedzisz bezczynnie na ławce? Czyś upita?

FLOR. Może śpi; obudźcie ją!

AGAPIUSZ. Mnie się zdaje, że zemdlała. (*On i Teopist przystępują do niej*).

TEOPIST (*z cicha*). Przynieście cokolwiek wina, aby ta biedna niewolnica przyszła do siebie (*podaje jej wino, które Teopista wypiwszy, przychodzi do siebie i podnosi się na ławce*).

TEOPISTA. Szlachetni rycerze, czy wolno mi jest prosić was o jedną rzecz?

AGAPIUSZ (*ze wzruszeniem*). Nie bój się i nie drżyj tak i powiedz czego sobie życzysz!

TEOPISTA. Ja jestem rodowitą rzymianką, i gwałtem odłączono mnie od męża i moich dzieci i sprzedano haniebnie jako niewolnicę.

TEOPIST. Chcesz pewnie prosić, abyśmy cię uwolnili. Tego nie jesteśmy w stanie uczynić.

TEOPISTA. Proszę, słuchajcie mnie dalej. Pochodzę z najszlachetniejszej rodziny rzymskiej i jestem prawowitą żoną jednego, może teraz zapomnianego, ale kiedyś ogólnie cenionego bohatera i dowódzcy.

AGAPIUSZ. Jesteśmy obcymi i nieznanymi w Rzymie; ale nasz dowódzca pewnie zna twojego męża; więc też zwróć się do niego z prośbą.

TEOPISTA. Jakżeż ja biedna niewolnica mam się do niego dostać? Zresztą on by mnie nie przyjął.

TEOPIST. My się postaramy dla ciebie o posłuchanie. W tej chwili idziemy do nie-



Prorok Daniel we lwiej jamie.

go, aby odebrać rozkazy; pójdź razem z nami!

Teopista (*wachając się*). Ja jeszcze mam coś na sercu, ale...

Agapiusz. Dla czego się wachasz? Nam pilno jest stanąć za kilka chwil przed dowódzcą; możemy się spóźnić! a każde opóźnienie choćby najmniejsze, surowo jest karanem. — Dalej, zbieraj się!

Teopista. Więc w imię Boże! (*odchodzi z synami*).

Ciąg dalszy nastąpi.

(Nadesłał dla Gazety Kat. Roman Adamski z Toledo, O.)

MODLITWA.

Królowo Polska, Patronko nasza!
Usłysz dziś nasze błagalne wołania:
Ciebie lud polski za Matkę uprasza,
Słysz nasze, Matko, żałosne wzdychania.
Czyż nie dość cierpień, czyż nie dość goryczy,
Czyż nie dość już znieślim niewolnej obroży,
Czyż nie dość łez kropel, które sam Bóg zliczy,
Z których się morze boleści wciąż tworzy?

* * *

Królowo Polska, Patronko nasza!
Ku Tobie zawsze wznosimy swe głosy,
Nie z hypokryzmem podłego Judasza,
Lecz z tą szczerością co pruje niebiosy,
Choć niezbyt wyraźne są modłów tych dźwięki,
Bo je jęk cichy i łkanie przyciska,
Lecz Ty, zapewnie, nie wzbronisz Swej ręki
Ze Swego, o Matko, w niebiosach siedliska.

* * *

Królowo Polska, Patronko nasza!
Wstaw się za nami do Swojego Syna,
Niech źródło łask Swoich nam dolę okrasza.
Sfolguje cierpienia co naród rozpina;
Niech poprzestanie srogiego karania,
Swe miłosierdzie okaże nad nami,
Niech młodzież naszą od złego ochrania
I niech ją wiedzie prostemi drogami.

* * *

Królowo Polska, Patronko nasza!
Wykorzeń z serca nam zazdrość, obłudę,
Która w nas prawe uczucia wystrasza
I promyk ufności przeistacza w złudę:
Która w nas ziarno niezgody zasiewa,
Wsze myśli zacne okrywa sromotą,
Ideę dążności w nas stłumia, zalewa
I naród nasz stawia na równi z hołotą.

* * *

Królowo Polska, Patronko nasza!
Królowo Nieba i Matko litości,
Spraw, niech nam nadziei rozpacz nie rozprasza,
Niech wiecznie nie żyjem w ciągłej niepewności.
Uproś, o Matko, niechaj nasz kraj wolny
Będzie i wróci do dawnej swej chwały,
Niech zawsze w miłości, zgodzie zabopolnej
Wzrasta w potęgę i Tobie w czci stały.

* * *

Królowo Polska, Patronko nasza!
Usłysz te nasze prośby i westchnienia,
Bo czyż serdeczna modlitwa lasza
Niegodna Twego godnego wstawienia?
Wszak, Matko luba, my zawsze wciąż wiernie
Przy Twojej straży czuwając żem stali,
Choć naród nasz przeszedł niepowodzeń ciernie,
W wierności ku Tobie żem dotąd wytrwali.

* * *

Wstaw się za nami, o Patronko nasza!
A wtedy Cię Polska bardziej kochać będzie,
I lud, który dziś Twe imię rozgłasza,
Na większy się zapał ku Tobie zdobędzie.
Matko, o Matko! przyczyń się za nami,
Na Twoją pamięć, która nam jest drogą,
Wciąż ustawicznie, ze łzami błagamy
Uproś nam, uproś dawną wolność błogą.

OD ADMINISTRACYI.

Wszystkich pp. Abonentów, którzy zalegają z prenumeratą, uprasza się o niezwłoczne nadesłanie tejże. Każdy dolar w obecnych ciężkich czasach jest nam bardzo potrzebny. Podwójnie więc będziemy Szan. Abonentom wdzięczni, gdy nam nadeślą to, co się nam sprawiedliwie należy. Zwracamy się szczególniej do tych, którzy za dwa a nawet za trzy lata abonamentu nie zapłacili i prosimy ich raz jeszcze o uregulowanie rachunku.

PRZYJACIEL DZIECI.

Następne stronice poświęcimy wyłącznie dla dzieci i pod powyższym tytułem zamieszczać będziemy nauki dla dzieci, krótkie powiastki moralne, piękne przykłady z historyi polskiej oraz zachęcać będziemy naszych małych przyjaciół, naszą dziatwę kochaną, aby po Bogu nadewszystko kochała rodziców, ojczyznę i mowę polską.

MAŁY ROBINSON
W PUSZCZY AMERYKAŃSKIEJ.

Ciąg dalszy.

VI.

Dzicy ludzie. — Porwanie. — Przybycie do osady dzikich. — Indyanka. — Czułość jej dla Janka. — Nocleg i przebudzenie. — Przebranie. — Wycieczka do lasu. — Mleko drzewne.

Łódka zbliżała się szybko, lecz gdy nasz Janek zobaczył ją zblizka, radość jego zamieniła się w przestrach. Dwaj ludzie, którzy w niej siedzieli i wiosłowali, wyglądali dziwnie, cerę mieli ciemną, miedzianego koloru, byli na wpół nadzy, a na głowach, zamiast kapeluszów, w długich, czarnych jak węgiel włosach, mieli pozatykane pęki piór różnobarwnych.

— Dzicy ludzie! — szepnął Janek, bo już w mieście Panamaribo widział zdaleka krajowców amerykańskich i poznał ich odrazu. Chciał jak najśpieszniej uciekać i ukryć się w lesie, przypomniały mu się różne straszne historye o dzikich ludziach, o ludożercach, obawiał się ich tak samo, jak drapieżnych zwierząt, jak węża anakondy, biegł więc co tchu w stronę lasu.

Lecz wnet usłyszał za sobą głośne o krzyki i nawoływania. Dzicy spostrzegli go także, szybko przybili do brzegu, wyskoczyli na ląd i dopędzili go bez trudności. Biedny chłopczyk przerażony szlochał na głos i zalewał się łzami, wyrywając się z całej siły, ale ci ludzie daleko silniejsi byli od niego. Jeden z nich wziął go na ręce i zaczął głaskać, jak pieska lub kotka, widocznie więc nie miał zamiaru mu nic złego zrobić. Drugi tymczasem pobiegł do łódki i przyniósł ztamtąd różne smaczne owoce, parę placuszków z manioku i podawał to wszystko Jankowi.

Uspokoiło to trochę naszego chłopczyka, a że był bardzo głodny, nie dał się długo prosić, przestał płakać i zaczął zajadać w najlepsze. Widząc to ów dziki Indyanin, poszedł znowu do łódki i przyniósł kawał pieczonego mięsa, a na ten widok Janek aż wykrzyknął z radości, zapominając zupełnie o przestrachu i chwycił łapczywie podany przysmak.

Dzicy ludzie obaj śmiać się zaczęli, a ten, który chłopczyka trzymał na ręku, usiadł na pniu obalonym i posadził go na kolanach, ciągle przytem patrzał na niego z jakimś dziwnym wyrazem czułości, głaskał po twarzy i główce. Towarzysz jego tymczasem powrócił do łódki i usiadł w niej, czekając.

Gdy Janek się już nasycił i jeść przestał, Indyanin wstał, trzymając go ciągle na ręku, zbliżył się do brzegu, wskoczył na łódkę i jego zabrał z sobą. Przestraszył się znowu nasz chłopczyna, próbował nawet się wyrywać, ale nie łatwa to była sprawa, bo dziki człowiek trzymał go mocno, a łódka odbiła od brzegu i szybko popłynęła z prądem rzeki.

Janek popłakał trochę, ale widząc, że rad nie rad musi się zgodzić ze swoim losem, położył się na dnie łódki, wysłanem piękną centkowaną skórą jaguara i wkrótce usnął. Sniło mu się, że widział matkę całą we łzach, ojca pogrążonego w ciężkim smu-

tku, z rękoma załamanemi; z twarzą zmienioną i bladą. — Janku! Janeczku! — wołali oboje. A on zaczął także wołać głośno:

— Tatku! mamo! nie płaczcie, ja żyję, ja tu jestem!

Przebudził się i ujrzał tylko miedziane twarze dwóch dzikich Indyan i rzekę i las nadbrzeżny. Słońce zniżało się ku zachodowi, łódka płynęła szybko, a Jankowi zdawało się, że ona go unosi coraz dalej od rodziców. Jeden tylko z dzikich ludzi wiosłował i ten wcale nie zważał na chłopczyka, ale drugi, ten sam, co go i wprzód trzymał na kolanach, spostrzegłszy, że się przebudził, wyjął znowu jakieś owoce i podał mu, głaszcząc go drugą ręką po jasnej główce.

Janek, jak wiemy, bardzo był roztropny, zaraz też sobie pomyślał, że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Skoro się tak dobrze z nim obchodzą, nie ma więc czego się obawiać. Zdawało mu się nawet, że gdyby tylko potrafił dać się zrozumieć tym dzikim ludziom, pewnieby go odprowadzili do rodziców, bo on przecież na nic im się przydać nie mógł. Przyszło mu wprawdzie do głowy, że jeśli to są ludożercy, to może umyślnie tak go troskliwie karmią, aby mieć z niego smaczniejsza pieczeń......... wszak to się podobno zdarzało; ale ci Indyanie tak jakoś łagodnie wyglądali, ten jeden szczególnie, który go ciągle karmił i pieścił, nie miał w sobie nic a nic groźnego i jakąś dziwną czułość mu okazywał, więc Janek uspokoił się zupełnie.

Słońce już zachodziło i ściemniać się zaczynało, gdy łódka zatrzymała się przy brzegu. Obaj dzicy wysiedli i Janka wysadzili. Jeden wyciągnął na brzeg łódkę i przewrócił ją dnem do góry, zapewnie dla tego, żeby obeschła. Janek zauważył wówczas, że łódka ta była to po prostu ogromna kłoda drewniana, gruby pień, wydrążony i wygładzony we środku, po wierzchu pozostała na nim kora nie tknięta.

Drugi Indyanin, ten sam, co tak czule karmił chłopczyka i pieścił, wziął go na ręce i idąc z nim szybko, nagle wydał krzyk donośny, tak doskonale naśladujący puhacza, że Janek drgnął cały i spojrzał dokoła, czy niema gdzie ptaka w pobliżu, bo własnym uszom nie wierzył.

W pobliżu widać było niewielkie wzgórze, a na niem stało kilka chatek, a raczej budek nizkich; na głos puhacza, to jest Indyanina, który go naśladował, z jednej chatki wybiegła dzika kobieta, przybrana dziwacznie w króciuteńką spódniczkę z jakiejś jaskrawej tkaniny. Na szyi miała ciężkie sznury nanizanych muszel i różnych błyskotek, a w długich, czarnych włosach pęk piór.

Indyanin zaczął coś do niej mówić w swoim języku, niezrozumiałym dla Janka, ona odpowiedziała tak samo, wydawała głośne okrzyki, jakby z wielkiej jakiejś radości, śmiała się, a ustawicznie przytem patrzała na naszego chłopczyka, chwytała go za ręce, dotykała jego twarzyczki, włosów, nakoniec wzięła go z rąk niosącego go Indyanina i tulić zaczęła w objęciach z nadzwyczajną czułością.

Janek był tem wszystkiem trochę odurzony, ale się nie przestraszył, bo czuł dobrze, iż oboje ci dzicy ludzie pokochali go i pewnie mu nic złego nie zrobią.

Indyanka postawiła go nakoniec na ziemi, ale nie wypuściła jego ręki i prowadziła go z sobą; szła w stronę owego wzgórza, gdzie stały chatki, Indyanin postępował za nią. Z chatek wybiegło kilka innych kobiet, poubieranych tak samo i kilkoro dzieci zupełnie nagich, wszyscy ze zdziwieniem i ciekawością przypatrywali się Jankowi, a kobieta, która go prowadziła, coś głośno im opowiadała, wymachując przytem rękami, wskazując to na chatkę swoję, to na las poblizki, to na rzekę, a co chwila przyciskając rączkę chłopczyka do swojego łona.

Weszli potem oboje dzicy ludzie do swojej chatki, zabierając Janka z sobą. Chatka ta była dość zgrabnie wypleciona z gałęzi, zwierzchu pokryta cała, od dachu aż do ziemi, ogromnemi, bardzo grubemi liśćmi bananowemi. Wewnątrz była jedna tylko izdebka, stało w niej parę stołków drewnianych, dziwacznie wyrzynanych, a u pułapu wisiały hamaki z mocnej tkaniny, takie, jak na okrętach, dwa duże, a trzeci mały, jakby dla dziecka.

Janek zaczął się oglądać na wszystkie strony, bo pewny był, że tu z jakiego kąta wyskoczy mały dziki człowieczek, synek tych dwojga. Ale żadne dziecko się nie pokazało, nawet gdy do wieczerzy zasiedli i Indyanka położyła na ławce rozmaite potrawy na czerwonych miskach gliniastych. Były tam wyborne ryby smażone, mięso, placuszki z manioku i banany, smaczne owoce, które Janek jadał już nieraz, odkąd w Ameryce mieszkał.

Po wieczerzy Indyanka poprowadziła chłopczyka do małego hamaku, przystawiła stołek i wskazywała z uśmiechem na migi, aby się tam położył. Nasz Janek nie miał nic przeciwko temu, bo był bardzo znużony, ale wprzód ukląkł i zaczął pobożnie mówić pacierz. Indyanka stała przy nim w milczeniu, nie przerywała mu wcale. Chłopczyna się położył, zdjąwszy obuwie i zwierzchnie ubranie, ona usiadła na ziemi przy hamaku i wpatrywała się w niego z wyrazem miłości i szczęścia.

Janek spał smacznie przez całą noc, a gdy się przebudził, był już dzień biały, słońce zaglądało do chatki. Indyanka znowu siedziała na tem samem miejscu, co wczoraj i także się w niego wpatrywała. Chłopczyk zerwał się szybko, wyskoczył z hamaku na ziemię i zaczął szukać swojego ubrania, ale go nigdzie znaleść nie mógł.

Wówczas kobieta objęła go czule i z przymileniem i pieszczotą pokazywała mu mały kawałek kolorowej tkaniny, ozdobiony frenzlą, ogromny naszyjnik, z nanizanych na sznurku najrozmaitszych przedmiotów, były tam paciorki kolorowe, zęby zwierzęce, dzioby ptaszków, muszle; Indyanka widocznie na migi go zapraszała, ażeby się w te piękne rzeczy przebrał. Janek nie miał do tego najmniejszej ochoty, ale nie było rady, ona gwałtem prawie dokonała tego przebrania, wetknęła mu nakoniec czerwone piórko w jasne włosy i zaczęła się śmiać i klaskać w ręce z radości, patrząc na niego.

Biedny chłopczyna sam nie wiedział, co się z nim dzieje, ale kobieta nie dała mu czasu zastanowić się nad tem, chwyciła go za rączkę i poprowadziła do lasu. Męża jej nie było w domu, musiał pójść od rana na polowanie, albo łódką znów popłynął, bo dzicy krajowcy amerykańscy ustawicznie polują, lub ryby łowią, ażeby im nie zabrakło pożywienia.

Indyanka niosła w ręku nożyk, a Jankowi kazała nieść naczynie, zrobione z torebki drzewiastej owoców sapucai. Zaszli tak aż w głąb lasu, kobieta zatrzymała się przy jednem drzewie, nacięła nożem korę, podstawiła w to miejsce naczynie i Janek z największem podziwieniem zobaczył wytryskującą z pnia drzewa ciecz białą, zupełnie podobną do mleka. Indyanka podała mu naczynie i zawsze na migi zachęcała, ażeby pił, on usłuchał i przekonał się, że ten sok drzewny nietylko powierzchownością, ale i smakiem zupełnie przypominał mleko.

Śniadanie to wybornie smakowało chłopczykowi, wypił wszystko do ostatniej kropelki, a nie umiejąc inaczej wyrazić swojej wdzięczności Indyance, skorzystał z chwili, gdy się do niego pochyliła, objął ją obiema rączkami za szyję i serdecznie ucałował. Zapomniał on zupełnie, że to była dzika kobieta, czuł tylko, że mu okazywała dobroć i troskliwość.

Uścisk ten tak niewymowną radość

sprawił Indyance, że się rzewnie rozpłakała, chwyciła chłopczyka na ręce i tuliła go do siebie, jak małe dziecko. Poszli potem dalej w las. Kobieta miała zawieszony na plecach łuk mały i pęk cieniuteńkich strzał, z ostremi, kościanemi końcami. Zdjęła ten łuk i podała go Jankowi, pokazała, jak ma strzałę założyć i zachęcała znakami, aby strzelał.

— Ara! ara! — mówiła Indyanka i wyciągała rękę w stronę, gdzie siedziało na drzewie kilka prześlicznych papug czerwonych. Janek naciągnął łuk, strzelił, ale nie trafił, a papugi z głośnym wrzaskiem odleciały, trzepocąc skrzydłami. Kobieta po gładziła po główce, jakby pocieszając, kiwała głową, uśmiechała się, chciała mu zapewne dać poznać, że drugi raz pewnie mu się lepiej uda.

Gdy przechodzili obok strumienia, Janek spojrzał w wodę i w pierwszej chwili zdało mu się, że obok tej kobiety idzie mały dziki chłopiec. Obejrzał się, szukając go koło siebie i po chwili dopiero spostrzegł, że to on sam tak wygląda.

Przyszło mu na myśl, coby to rodzice powiedzieli, gdyby go zobaczyli w tem przebraniu? Wspomnienie rodziców zasmuciło chłopczyka; teraz już zupełnie nie wiedział, kiedy i jak się do nich dostać zdoła.

Dalszy ciąg nastąpi.

Dawni królowie na Zamku Krakowskim.

PODANIE LUDOWE.

Smutny dziś stoi Kraków stary i ni tam dworscy ludzie na Krakowskim Zamku się uwijają, ni tam wieczorem świecą się rzęsiste światła w zamku królewskim, ni na rynku ujrzysz zbrojnego rycerza, hetmana na dzielnym koniu, sędziwego senatora. Śpią w grobach dawni królowie polscy, hetmani, rycerze i senatorowie, a stary Kraków smutny stoi.

W zamku krakowskim wiatr oknami świszcze i żałośnie jęczy po komnatach królewskich. Ale tam gdzieś głęboko pod zamkiem, tam gdzieś pod najgłębszem sklepieniem, jest jeszcze drugi gród podziemny, niby drugi zamek królewski. Gród ten podziemny nie taki cichy, nie taki smutny, nie taki głuchy i grobowy, jak ten gród nad ziemią, co go ludzie widzą; ale tamten gród w głębinach pod zamkiem jasny, wesoły, a tak wspaniały, bogaty i strojny, jak ten nad ziemią niegdyś był.

W onym podziemnym grodzie jest wielka świetlica, duża jak kościół. A na ścianach tej świetlicy wiszą stare zbroje, tarcze, szable i chorągwie. W środku świetlicy stoi wielki stół, a za tym stołem siedzą wszyscy dawni królowie, siedzą w szatach strojnych, jakby na tronie w dzień koronacyi swoje. Siedzi za stołem ojciec królów polskich, siedzi w złotej koronie sędziwy Bolesław Chrobry ze szczerbcem swym w dłoni; siedzą wszystkie Mieczysławy, Bolesławy, Kazimierze, Władysławy, Jagiellończykowie, Zygmunty, Batory, Wazowie i Augustowie; siedzi między królami za stołem piękna młoda królowa Jadwiga, w złotych szatach i drogich perłach. Co tam w tym podziemnym grodzie ci królowie robią? nad czem radzą?

Tylko raz w rok, o samej północy, słyszą ludzie głuchy, podziemny huk z dział i moździerzy, rżenie koni, trąby i wrzawę, a wtedy jeden z królów, pono on stary ojciec Bolesław zwany Chrobrym, wychodzi z pod ziemnego głębokiego grodu i rusza żelaznym krokiem przez duże dziedzińce zamkowe, a na ramieniu świeci mu szczerbiec, niby miecz anioła. Gdy się kto z ludzi śmiertelnych z nim spotka, a dobry człowiek, wtedy zobaczy króla ojca Chrobrego i w sercu zrobi

mu się łekko i wdzięcznie; lecz gdy jest zły człowiek, to Wielkiego Bolesława nie zobaczy, w mózgu mu się zakręci i padnie na ziemię. Tak więc pod zamkiem krakowskim, w podziemnym głębokim grodzie, w onej dużej świetlicy jasnej, ozdobionej zbrojami, tarczami, staremi szablami i chorągwiami, żyją dawno zmarli na ziemi polskiej królowie. Tak o tem prawią górale i krakowiacy przy wieczornych pogadankach.

Jest to podanie ludu, jest to piękna baśń dzieci, ale pokazuje, że pamięta jeszcze lud dawnych królów swoich, że chociaż dawno pomarli królowie polscy i cicho spoczywają w zimnych grobach krakowskich, to jednak nie pomarli, lecz żyją w pamięci wdzięcznego narodu.

Prośba o karę.

Zacna, bogata pani, baronowa S., która najsumienniej dzieci swe wychowywała i każdą swawolę surowo karciła, chciała raz syna swego cieleśnie ukarać za przewinienie. Syn bał się bardzo kary i błagał matkę, aby mu przebaczyła, zapewniając uroczyście, że się już nigdy tego przewinienia nie dopuści. Więc matka wzięła go za rękę i zaprowadziła przed obraz, który przedstawiał sąd ostateczny.

— Patrz, rzekła, Bóg odemnie kiedyś na sądzie swym zażąda rachunku, czym cię po chrześciańsku wychowała i za popełnione błędy karała. On kiedyś odemnie; twej duszy domagać się będzie; jeśli ja cię nie ukarzę jak zasługujesz, to Bóg mnie za to ukarze. Czy chcesz więc, aby twoja matka za ciebie potępioną została?

— Nie, droga Matko! nie! zawołał rozrzewniony syn — ty nie będziesz karaną! Ukarz mnie, jak na to zasłużyłem! Ukarz mnie surowo, abyś nie była potępioną!

Zapewne, piękny przykład dobrego serca w dziecku, ale zarazem chrześciańskiej karności, co tak po Bożemu karze.

PACIERZ.

Zmów paciorek, moje dziecię,
Bo kto z Bogiem, Bóg z nim bywa;
Dużo przeżyć musisz w świecie
Nim nadejdzie starość siwa,
I po życia walkach, znoju,
Smierć utuli cię w spokoju.

Gdy na ustach płynie skarga,
Gdy cię złości zranią ciernie,
Kiedy piersią ból zatarga,
Ty stojąc przy Bogu wiernie,
Chceszli pociech uszczknąć kwiecie —
Zmów paciorek moje dziecię!

Dziecię moje, zmów paciorek!
Niech duch twój, na scenie świata,
Nad tłum aktorów, aktorek
Dobrym czynem wyżej wzlata;
A nim skonasz, tem się naciesz ––
Że ktoś zmówi za cię pacierz.

Może promień szczęścia złoty
Na twą drogę blaskiem padnie!
Wśród radości, wśród ochoty,
Gdy chcesz by ci wciąż szło składnie,
Za nim cienie chmur nadpłyną —
Zmów paciorek cna dziecino!

I wiedz, że gdy żyje człowiek
Po Bożemu na tej ziemi,
Prawy do zamknięcia powiek,
Przyroda, usty świętemi,
Nad grobem, jak przy kolebce —
Cichy pacierz za nim szepce....

A. Widziałem człowieka, który z przeciągu dwóch dni pochował troje dzieci, a wieczorem poszedł do teatru i bawił się w najlepsze.

B. To istny potwór.

A. Nie, przedsiębiorca pogrzebowy.

KSIĘGARNIA GAZETY KATOLICKIEJ

565 Noble St., CHICAGO, ILL.

poleca następujące książki:

Nauka Wiary i Obyczajów Kościoła Katolickiego.

Wyłożona obszernie, stwierdzona i objaśniona miejscami pisma św. i Ojców Kościoła i przykładami z życia oraz przewodnik życia dla rodzin chrześciańskich. Potwierdzona i polecona przez 24 książąt Kościoła i ozdobiona 10 kolorowemi prześlicznemi obrazami oraz licznemi bardzo rycinami. Format duży, albumowy, oprawa elegancka, stronnic 1238. Dzieło to składa się z trzech części i zawiera w części I naukę o wierze, w części II naukę o przykazaniach, w części III naukę o środkach łaski. Książka ta znajdować się powinna w każdej polskiej rodzinie, bo z niej czerpać można naukę i pociechę w każdej po'rzebie. Cena całego dzieła oprawnego w płótno angiel. z złotemi wyciskami 4.00

Żywot Bogarodzicy Najśw. Panny Maryi i jej Oblubieńca św. Józefa

z opisem najgłówniejszych miejsc cudownych i czcicieli Najśw. Panny Maryi, polecone przez 33 Książąt Kościoła, ozdobione 8 ślicznemi kolorowemi obrazami i blizko 500 rycinami, w eleganckiej oprawie, format duży albumowy.. 4.00

Bratobójca, powieść moralna z czasów wielkorządztwa Alby w Niderlandach, osnuta na prawdziwem zdarzeniu, napisana przez X. Hejduckiego.......... 20c

Bożenna, Siostra Miłosierdzia, zdarzenia z naszych czasów, w 3 tomach, opisał Nep. B. Jaskółka.......... 1.00

Córka Hetmańska przez Piotra J. Bykowskiego.. 30c

Cudze szczęście, obrazek przez Br. Grabowskiego z pod Jasnej Góry.......... 10c

Cześnikówny, powieść przez J. I. Kraszewskiego 50c

Dowcipne Lekarstwo. Powiastka z życia ludu. Napisał ks. Wł. Chotkowski.......... 10c

Dwa worki złota. Powiastka przez Aleksandrę Marczewską.......... 10c

Dwie Marye, powieść z dawnych czasów polskich przez F. Xaw. Tuczyńskiego.......... 50c

Dwie Mazurki. Powiastka z czasów Bolesława Krzywoustego przez Wandę Podgórską...... 50c

Dwurożny człowiek, powieść przez Maurycego Jokaya.......... 30c

Dzielny chłopiec, powieść osnuta na tle powstania 1864 r., napisał Szczęsny Rogala.......... 20c

Dwa Śluby, szkic przez Paulinę z L. Wilkońską.. 15c

Dwie powieści. 1. Poddany. 2. Z głodu się ożenił.......... 10c

Historya o dwóch siostrach zawistnych szczęścia młodszej siostry. Opowiadanie Szeherazady 25c

Historya o Gryzeldzie i Margrabi Walterze. Z książek dla ludu przez Marbacha wydanych.. 10c

Historya o Grzegorzu, który przez 17 lat pokutował przykuty do skały. Piękne i wzruszające opowiadania dla ludu.......... 20c

Historya o konia zaczarowanym czyli dziwne przygody jeźdzca w powietrzu. Opowiadanie Szeherazady.......... 10c

Historya o szlachetnej i pięknej Meluzynie, różne przygody, pociechy i smntki, szczęścia i nieszczęścia itp.......... 30c

Hrabia parobkiem u kmiecia, powieść wyciągnięta z Ramot i Ramotek Wilkońskiego.......... 10c

Historya o Kowalu Paszku z Raciborza.......... 20c

Jałmużna i Przypowieść o pszenicy. Gawędy z podania ludowego przez Jana Chęcińskiego.. 10c

Jan III Sobieski, król polski, obrońca chrześciaństwa pod Wiedniem.......... 10c

Jan Orlik, znalezione dziecko w gnieździe orlem pod Krakowem.......... 10c

Jan Płużek, powieść z dawnych czasów napisał Mieczysław z Poznania.......... 15c

Jaskinia Potępieńca. Powieść przez Fr. X. Tuczyńskiego.......... 50c

Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, powiastka.. 10c

Jasna Góra Częstochowska, gawęda napisał K. Kucz.......... 10c

Jan Samulczak czyli chciwość ukarana. Powiastka osnuta na tle prawdziwego zdarzenia. Napisał Hipolit Bogumił Tarczyński.......... 15c

"Jeszcze Polska nie zginęła". Napisał syn mego ojca.......... 15c

Kazimierz i Magdosia. Powieść z dziejów ojczystych siedmnastego stulecia przez Mieczysława z Poznania.......... 15c

Konfederaci Barscy na Sybirze. Powieść napisana przez E. z K. P.......... 25c

Konstytucya 3go Maja.......... 10c

Królewski Dziadek. Opowieść z czasów króla chłopków Kazimierza Wielkiego.......... 15c

Krwawa noc. Powieść z niedalekiej przeszłości przez Zygmunta Lucyana Sulimę.......... 15c

Krwawe sieroty, powieść napisana przez W. S... 15c

Ks. A. Kordecki przeor Paulinów, obrońca Klasztoru Częstochowskiego.......... 15c

Ktoby się spodziewał! Humoreska. Napisał Władysław Ordon.......... 10c

Księżna Lubomirska, czyli cudowny los sieroty polskiej w Paryżu.......... 30c